№ 38. Warszawa, dnia 4 (16) Września 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w ostatnim kwartale bieżącego roku, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Po ukończeniu dramatu „Galla Placydya," rozpoczniemy druk nowej pracy *J. I. Kraszewskiego* p. t. **Zaklęta Księżniczka.** W dodatku zaś powieściowym słynną powieść *L. Marechal'a* p. t. **Czarna Skała.**

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Wrażenia z włóczęgi po obczyznie.

(Dokończenie).

Z wyżyny kończącej przestrzeń przed pałacową, Wiedeń przedstawił się w całej swej okazałości kipiący ruchem, gwarem i życiem, jakiem zaleca się pomiędzy grodami niemieckiemi. Zdala sterczały góry Kalembergu z owym sławnym kościołkiem, w którym Sobieski przed pogromem Turków sam służył do ofiary Pańskiej. I zdało mi się że widzę bisurmańskie hordy rozłożone w rozlicznych namiotach; w najwspanialszym i najwyższym siedzi wielki Wezyr i z pożądliwością patrzy na Wiedeń. A tam strach, trwoga, — wały roją się zbrojnymi, wieże strażą, wieści najrozmaitsze przechodzą z ust do ust, to smucą, to cieszą, każdy wygląda pomocy, ma nadzieję, traci ją i podnosi, wreszcie rozpacz ogarnia wszystkich, pęta niewoli pewne, a Turek lubuje się w rzezi, pożodze i okrucieństwie. W tem, z pierwszemi promieniami słońca, na wzgórzach pokazują się szeregi wojowników, oręż błyszczy, konie rżą, straż daje znać, odzywają się dzwony kościelne, napełniają świątynię, lud modli się i płacze, powstaje gwar, wszystko co żyje spieszy na wały, z gór nadlatuje okrzyk wojenny, rycerze pędzą z nich jak lawina, wytryska huk dział, chmury dymu, dudni ziemia... i wszystko kończy się okrzykiem zwycięztwa, pieśnią dziękczynną i jak zwykle.... zapomnieniem.

Z westchnieniem zszedłszy z góry puściłem się boczną drożyną ku Hitzingowi, przedmieściowi Wiednia, od którego tramwaje prowadzą do jego wnętrza. Nieświadomy drogi, wśród gąszczu leśnego nie wiedziałem gdzie się obrócić; wybawił mnie z kłopotu jakiś młody ubogi rzemieślnik, oświadczając że ucieka z Wiednia dla braku zarobku, gdyż takich jak on, sześć tysięcy przeszło zostaje bez pracy i chleba.

— Idź do wojska, rzekłem mu, w wojnie możesz zginąć, ale z głodu nie umrzesz.

— To prawda, ale jak wszyscy pójdziemy do wojska to kto będzie na nas pracował?

— Już się o to nie turbuj, znajdą się tacy co ich zaprzęgną do roboty.

— Oj! żebym wiedział, że zaprzęgną mego pryncypała, odrzekł brwi marszcząc, a dobrze będą biczem poganiać, tobym zaraz to zrobił. Musieliśmy u niego pracować piętnaście godzin dziennie...

Aż przystanąłem.

— Jakto, piętnaście godzin? powtórzyłem.

— A tak piętnaście, od piątej rano do dwunastej i od pierwszej do dziewiątej. Jak wyszedłem z fabryki tom stał długo zanim zmiarkowałem się, że to trzeba udać się na spoczynek. Gdzieindziej gdzie dzień i noc idą warsztaty, to robotnicy siedemnaście godzin są zajęci, przeklinają świat cały, ale cóż mają robić, muszą pracować.

Z ubolewaniem patrzyłem na młodzieńca, poznał to widać bo zapytał:

— Czy to tak na zawsze pozostanie? Czy zawsze jedni będą umierać z obżarstwa a drudzy z głodu?

— Przecieć głodu nie miałeś mój bracie.

— No, głodu nie było, bo pracowałem, tylko święta rwały mi grosz. Ale cóż dziwnego. Jak przyszedł dzień swobody, po tygodniu pracy bez wypoczynku, sam nie wiedziałem co z sobą robić i chciałem tak się nasycić hulanką, żebym do niej znowu przez tydzień nie zatęsknił. Piło się więc, jadło i bawiło, a potem stękało i głodziło gdy się za wiele przehulało....

— To nie dobrze, przerwałem.

— Ja wiem że nie dobrze, odrzekł, ale żebyś pan wiedział jak to plecy i ręce bolą po tygodniu pracy, jak się pragnie rozrywki i uciechy w niedzielę, to byś się nie dziwił. Mój pryncypał codzień się bawił, a jak suto, wystawnie, ja raz tylko na tydzień i wydałem tyle co jego dwa albo trzy cygara kosztowały. Czasem przegrało się w karty...

— Brzydka zabawa, przerwałem.

— Ej! ja wiem, że i pan gra na giełdzie, to tak jak karty. Żebym tylko mógł dojść kiedy do stu guldenów, zarazbym się wziął do giełdownictwa, Znam jednego co się spanoszył na giełdzie i umarł ze zbytku; jabym nie był taki głupi gdybym miał pieniądze, używałbym ale z rozumem, nicbym nie robił nawet bym muchy nie spędził gdyby mi siadła na nosie, tylko wołałbym lokaja.

— Czyż tak pracy nienawidzisz?

— Nie panie, przerwał, ale piętnaście godzin na dobę pilnować warsztatu, ruszać się przy nim w pośród syku i huku trybów i kółek, to ledwo głowa nie pęka i tak morduje że nawet życie obrzydza. Tańczyć lubię bardzo, raz osiem godzin tańczyłem, tom się tak zmęczył żem się nie mógł poruszyć... wytrzymać dwa razy tyle przy codziennej pracy to trudniej trochę, a jednak już lat siedem tak pracuję i wypadnie podobno pracować do końca życia. Przeklęty taki porządek co jeden stęka na puchu że nie ma dziesięciu brzuchów do nakarmienia, a drugi na twardej desce przeklinając dzień swoich narodzin. Gdybym spotkał werbownika co zaliczki daje udającym się do Ameryki, zarazbym się puścił na morze...

— I tam nie rozkosz mój bracie.

— Ja wiem o tem, są nawet tacy co uciekają i wracają do swojej biedy, ale to tacy, co im się zdaje, że Ameryka to raj, w której rzeki płyną mlekiem i miodem, na drzewach rosną bochenki chleba, zrazy wołowiny i luidory zamiast liści, a ludzie to anioły prosto przybyli z nieba. Dla tego z gniewem wracają do Europy, ale gdy się rozpatrzą w jej porządku jak nazywają, a ja powiadam w nieporządku, to smyrgają nazad do Ameryki i powiadają, że nie jest tam po rajsku tylko po ludzku, ale w Europie jest po dyabelsku, wolą więc z ludźmi mieć do czynienia jak z dyabelstwem.

Spojrzałem na Niemca tak krótko i dobitnie krytykującego układ społeczny i pomyślałem:

— Jakto i ty narzekasz? Cóż dopiero ma robić biedny Słowianin, szamoczący się pod nożem Turka, i w kleszczach największej samowoli, niesprawiedliwości, okrucieństwa i deptania wszystkiego co mu najdroższe i najukochańsze!

Podobnych malkontentów coraz więcej w Niemczech przybywa i gdy jedni ściskając pięście wyglądają jak zbawienia rozstroju społecznego, drudzy w emigracyi szukają ratunku i rozłażą się na wsze strony świata jak mrówki z mrowiska. Od pewnego jednak czasu, emigracya zmniejszyła się do Ameryki, cokolwiek zwiększyła do Australji a na wschód zaledwie po kilkanaście osób rocznie wynosi. Sądzę jednak że stan to przechodni i wróci gorączka emigracyjna z dawnym ku nowemu światu zapałem. Ludzkość ciągle nią trawiona płynie ze wschodu na zachód, jak rzeka z wyżyn ku dolinom zmierzająca. Ten pęd niczem nie powstrzymany jak się rozpoczął w czasach nie rozjaśnionych historyą, trwa ciągle bez przerwy tylko z tą różnicą, że niegdyś szły orężne gromady mieczem nowe zdobywające siedziby, dziś te same gromady z pewnym zapasem inteligencyi i mienia, z nowych osiedlin parowcami przenoszą się za Atlantyk, aby w warunkach przyjaźniejszych stanowiących potrzebę ocknionej ich duszy, rozwijać pracę mającą ludzkość przemienić w jedną owczarnię. Ameryka nie tak przeludnia się jak zużywa, para i telegraf tak ją zbliżyły, że przestała być tajemniczą krainą obudzającą przesadzone marzenia przyszłej pomyślności. Oczy więc teraz zwróciły się na środkową Afrykę i Anglija nie na żarty myśli o jej kolonizowaniu. Niedawno porucznik Cameron przebył pierwszy cały obszar afrykański w pasie równikowym od zachodu na wschód i wróciwszy z podróży oświadczył stanowczo, że przestrzenie te o wiele przewyższające całą Europę, zupełnie nadają się do osiedlin europejskich rolników, i że należy wszelkiemi sposobami ułatwiać im emigracyą. Anglija dybiąca na podobne zdobycze z odpowiednią sobie wytrwałością, aby jak najwięcej na całym świecie mnożyć placów targowych dla swoich wyrobów, rozumowanie Camerona przyjęła chętnie, wzięła je pod rozwagę i kazała śmiałemu podróżnikowi wypłacić trzy tysiące funtów szterlingów jako zwrot poniesionych kosztów w podróży. Tak więc niedługo zapewne Afryka zacznie współzawodniczyć z Ameryką, nowe sitko stare wrzuci na kołek, ale ono tam nie spleśnieje i nie opyli zastaniem: owszem stanie w pełni swej świetności i uśmiechnie braterstwem do Europy.

Nim to nastąpi oto Prater wiedeński wre życiem i zabawą, z jakiemi zaledwie spotkać się można w Paryżu. Co krok to nowy budynek, wszędzie wrzeszczą trąby, huczą bębny, dudlą kataryni, tu tańczą, tam pajace błaznują, tu maryonetki skrzeczą i tłuką się jak ludzie w pijanym szale, tłumy się przechodzą, przypatrują, śmieją, rozmawiają wszystkiemi językami ludów składających monarchiją Habsburgów, a przedsiębiercy w niemieckiej mowie z apraszają przechodniów, zastępują drogę, chwytają za poły, obiecując za dziesięć grajcarów pokazać niewidziane nigdy dziwy. Cała tu zręczność w reklamie złożonej z niezmordowanej wymowy zapraszającego, w rozwieszonych płótnach zababranych widokami niby przedmiotów okazywanych, i w różnych figielkach rozbudzających niezmiernie ogólną ciekawość. Zapraszający to wytrwałość prawdziwie zdumiewająca: przez dziesięć godzin ciągle wyliczać ważność okazów, wychwalać ich wartość, unosić się nad ich pięknością lub nadzwyczajnością i to z zapałem i ferworem wywołującym nabrzmienie żył na czole i płomieniste zaczerwienienie twarzy, to praca niebagatelna. Jeden z tych kieratowych pytlowników języka, wskazując ciągle uderzaniem w cyfrę 10, jako cenę biletu wnijścia umieszczoną w ramkach na grubem płótnie pokostowanem, powybijał w niej dziury, zniszczył, potargał i strzępami fruwał jak chorągiewkami. Tłum śmiał się, dziwił tak energicznej zachęcie i składał dziesiątki aby zobaczyć cielę morskie, papugę, małpę i parę wężów, prawda że nie w okolicy Wiednia złapanych ale bardzo zwyczajnych. Uważałem też, że każdy z wychodzących z pod tajemniczej zasłony, miał minę kwaśną i zawstydzoną, jakby się gniewał że się dał złapać. Koło drugiego przechodząc co nam zaledwie pęt na nogi nie zarzucił, pragnąc wrzask jego uspokoić, jedna z pań naszego towarzystwa rzekła po polsku:

— Ej! nie wrzeszcz nadaremnie, bo nie rozumiemy...

— Ale ja rozumiem, przerwał przemysłowiec z czeska po polsku i uśmiechnął się z największą uprzejmością.

W innem miejscu wystawę stanowi orkiestra ułożona z manekinów naturalnej wielkości w tureckiem przybraniu, w której za pokręceniem korby muzyka odzywa się, skrzypek wodzi smykiem po strunach, basetlista wtoruje, dobosz wali w bęben, flecista, trębacz i fagocista przykładają instrumenta do ust i znowu odejmują, a wszystkim przewodzi dyrektor, takt dający pałeczką. Do obejrzenia zaś wewnątrz znowu nic innego, tylko węże, papugi, małpy i cielęta morskie.

Dalej idąc na wystawie przechadzała się para albinosów z włosami jasnemi jak pela grubo stapirowanemi: z początku sądziłem że to manekiny, ale się omyliłem, były to istoty żyjące i rzeczywiste. W innem miejscu murzyn sprzedawał bilety, wrzeszczał jak opętany i pobłyskiwał białemi zębami i białkami oczu; tam znów skrzeczały dwie papugi, figlowały małpy, poruszały się figury, słowem wszystko to przy muzyce, wrzawie patrzących i krzykliwych zaproszeniach tak drażniąco działa na nerwy ciekawości, że na prawdę trudno się oprzeć chętce jej zaspokojenia. Pomiędzy temi budkami różnych dziwów dopóki są kotarą wnijścia zasłonięte, mieszczą się liczne karuzele na różny sposób urządzone, pomiędzy któremi wyróżniały się, naśladujące tramwaje, pociągi kolei żelaznej, dwupiętrowy dom cały obracający się i karuzel pochyły, w którym kołyski nakształt łódek balonowych gdy suną w górę zdają się lecić w powietrze jak ptaki olbrzymie. Ochotników do użycia zabawy nigdy nie brakuje, ale ci stanowią nader mały procent przypatrujących się, każde dopiero święto staje się żniwem dla przedsiębierców, gdy połowa ludności wiedeńskiej zaleje Prater aby się wybawić, nacieszyć i wyśmiać na cały tydzień, wówczas ścisk i wrzawa bywają tak wielkie, że czasem przez gromady przecisnąć się trudno, a usłyszyć już o dwa kroki niepodobna. Co wtedy dokazują przedsiębiercy owych różnych zabaw powyżej opisanych, aby jak największą liczbę gapiów ściągnąć do swoich tajemniczych rozkoszy, to trudno wypowiedzieć. Jest to rzeczywiście kalejdoskop z żywych złożony osób, w którym każda sekunda coraz inny i coraz ruchliwszy tworzy obraz. Jednego z rzemieślników, który nie mógł postanowić odrazu, czy zaharcować na koniu karuzelowym, czy też obejrzyć dwie jaszczurki amerykańskie i barana dwugłowego, o mało nie rozdarto na dwoje, co tak każdy z przedsiębierców ciągnął ku sobie pewny dychacza na stratę przeznaczonego.

— Alem z nich zażartował, dodał w końcu, bo kiedym wydobył się z ich kleszczy oświadczeniem, że na koniu karuzelowym przyjadę obejrzyć osobliwości, czmychnąłem pomiędzy ludzi i z Francem przyjacielem wypiliśmy piwa słuchając muzyki przygrywającej tanecznikom.

Nie sam jednak Prater w dni świąteczne roi się tysiącznemi tłumami: gdzie się obrócić wszędzie je spotkać można, na ulicy, w kościołach, w ogródkach i ogrodach, a i w zamiejskich wycieczkach także.

Pociągiem spacerowym pojechaliśmy na Semmering, będący na drodze do Włoch prowadzącej przez najstromsze i najbardziej przepaściste Alpy. Ochotników dosyć się znalazło a jakie to wszystko było zaciekawione i niecierpliwe zobaczenia cudów pracy i wysiłku ludzkiego, to nieraz śmiech trzeba było zdusić w sobie, aby się nie domyślono, że Nadwiślak ośmielił się rozśmiać z Wiedeńczyka.

Dzieło to rzeczywiście zdumiewające: u nas poczty wiezną między Warszawą a Radomiem, tam przez przepaście mogące chłonąć całe miasta, przez góry przedstawiające się jak np. wieże przy doniczce skromnej niezapominajki, w otoczeniu wyniosłości

coraz wyższych tu i owdzie bielejących śniegiem, wije się droga żelazna jak wąż uciekający przed pogonią. Tu zakręca w lewo, tam w prawo, tu wspina się, tam zsuwa z wyżyny, tu pędzi nad wierzchołkami niebotycznych lasów, tam chowa we wnętrze góry przebitej na wylot przez kilka często minut dzień na noc zamieniając. Czasami idzie równolegle od przebyłej już poprzednio, albo po której i my przemykać się będziemy za małą chwilkę, jakby pociąg nas wiozący ścigać chciał ten co nas minął przed półgodziną. Zaciekawieni podróżni stoją w oknach i patrząc wydają okrzyki zdumienia, a gdy zobaczono śnieżne szczyty wiecznie bielejące, podziw nie miał granic i ogólnym chórem: A-a-a! powitano ten cud natury, który gdy w dolinie praży i jak w prasie wydobywa strumienie potu, tam w wyżynach jednocześnie mrozi nie dopuszczając życia nawet w maleńkiej trawce weselącej oczy swoją zieloną sukienką. Ileż to milijonów musiało kosztować przeprowadzenie tak trudnej, a tak wygodnie urządzonej drogi, ileż korzyści spłynęło z niej i spływa bez przerwy na okolice połączone z sobą. Niegdyś, przebywano ją na mułach po ścieżkach najniebezpieczniejszych i to jedynie w porze letniej, gdy burza nie groziła huraganem; dziś droga ta w każdej godzinie i przez wszystkie pory roku stoi gotowa do użycia, jedziesz po niej jak po stole, bezpieczny i zachwycony przepysznemi widokami.

Słyszałem że wielu z ziomków moich, szczególniej panie zbyt nerwowe, lękają się grozy tego przejazdu po przepaściach wyżyn alpejskich. Niechże samowolnie nie pozbawiają się tak pięknej wycieczki i śmiało siadają do wagonu, który z pewnością z większą bacznością i bezpieczeństwem przewiezie je przez te urwiska, jak dorożkarz warszawski z dworca kolei przez Nowy Świat do króla Zygmunta.

J. K.

GALLA PLACYDYA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

przez K. P.

(Dalszy ciąg).

SCENA III.

Ataulf—Placydya.

Ataulf (zwracając się do Placydyi).

Po smutnym obrzędzie,
Przychodzę Gallo tobie się pokłonić,
I u stóp twoich mą koronę złożyć!

Placydya (odstępując).

Co mówisz królu?

Ataulf.

Miałażbyś mi bronić
Serce me tobie Placydyo otworzyć?

Placydya.

Przestań o królu!

Ataulf.

Tajemnic nie będzie,
Już między nami, nie będę już skrywać
Moich zamysłów! przez Gotów wybrany
Po Alaryku, mogę rozkazywać,
Władza ma wielka, przez nich obwołany
Królem i panem, ja się ich nie boję!
Śmiało więc tedy przychodzę do Ciebie
Boska Placydyo! złożyć serce moje!

Placydya.

Zważ Ataulfie...

Ataulf (przerywając).

Długo ukrywałem
Wszystko co było na dnie serca mego!
Ale od dzisiaj jestem panem siebie,
I dawne więzy na zawsze zerwałem.
Przychodzę tedy, i wyroku twego
Czekam Placydyo! Bo ty mi świat nowy
Otworzyć możesz, lub kilkoma słowy
Rzucić mnie w rozpacz bezdenną, ponurą!...
Ja kocham Ciebie, całą siłą duszy!...
A ty mną nie gardź, o Cezarów córo!
I miłość moja niech twe serce wzruszy!

Placydya.

Ty Ataulfie! mówisz o miłości?

Ataulf.

Czyż mi nie wolno?

Placydya.

Tak! jam twoją branką!
Jednak wspomnienia niedawnej przeszłości
Zatarte nie są, a ja, jam Rzymianką!

Ataulf.

Jam twój niewolnik, a tyś tu królową!
Nie gardź mą prośbą, nie odrzucaj ręki!
O! błagam Ciebie!...

Placydya.

Przestań! miłość twoją
Muszę odrzucić!

Ataulf.

Zabijesz odmową!

Placydya.

Niestety!...

Ataulf (błagalnie).

Gallo!...

Placydya.

Tak, to być nie może!
I nie powinno!

(na stronie).

Panie! skończ te męki!

Ataulf.

Gallo Placydyo! ja starań dołożę
Chciej mi zaufać!... Wolność ci powrócę!...
Abym szczęśliwą mógł oglądać ciebie,
Ku temu tylko wszystkie myśli zwrócę,
Choćbym miał nawet poświęcić i siebie!

Placydya.

Czyż mogę przyjąć tak szczytną ofiarę?
Sam się zastanów, o królu zwycięzki!
Królu narodu co przysłan na karę
Rzymu i Rzymian! Czyż te ciągłe klęski,
Które twój naród przynosi naszemu,
Ta długa krzywda, co o pomstę woła
Boga i ludzi.... azaliż to zdoła
Skłonić me serce ku sercu twojemu?

Ataulf.

Ależ to wszystko ja wstrzymać rozkażę...
Wyrzeknij słowo!...

Placydya.

Zapóźno niestety!
Krwi i łez kraju, cóż pamięć wymaże
Z mojego serca rzymianki, kobiety?
Ty Ataulfie nie rozumiesz jeszcze
Ni sławy naszej, ni naszej przeszłości,
Ni marzeń moich, któremi się pieszczę
Chociaż w niewoli! ani też miłości
Dla starej Romy, która duszę moją
Na wskroś ogarnia!... nie pojmujesz zgoła
I dumy naszej z potęgi wiekowej,
Wiekowej sławy, zaszczytów, godności,
Co nie dozwala uchylić nam czoła
Przed inną władzą, a tem więcej twoją!
Nam narzuconą!... Żadnej władzy nowej
My nie uznamy, ni obcej zwierzchności!...
Sądzisz, że możem w serdecznym uścisku
Zbratać się kiedy?... przy jednym ognisku
Zasiąść pospołu?... Nigdy! nas rozdziela
Wiekowa zawiść, boje, krew wylana,
Gruzy, zwaliska, potęga złamana
Przedwiecznej Romy!... Twojego wesela
Dzielić nie mogę, a mojej rozpaczy
Ty nie pojmujesz!...

Ataulf.

Więc ja nie pojmuję
Twojej tęsknoty, żalu i boleści?...
Toż miłość moja nic dla cię nie znaczy?
Miłość, co serce marzeniami pieści,
A której duma nawet nie wstrzymuje!

Placydya.

Nie Ataulfie daremne twe słowa!

Ataulf.

Więc gardzisz zawsze?

Placydya.

Przepaść niezmierzona
Dzieli nas królu.

Ataulf.

Ale przyszłość nowa
Wznijdzie świetniejszą.

Placydya.

Dla mnie już stracona.

Ataulf.

Gallo Placydyo! Czyliż serce twoje
Zemsta, nienawiść, tak bardzo objęły,
Że sprawiedliwy sąd jemu odjęły?

Placydya.

Zkądże to królu?

Ataulf.

Wszakże chęci moje
By ci osłodzić te chwile zwątpienia,
Obce ci nie są, i twoje cierpienia
Radbym ja Gallo natychmiast ukrócić,
Wraz ze swobodą i szczęście Ci wrócić.

Placydya.

O! wierzę temu!...

Ataulf (przerywając).

Pozwól niech przełożę
Tobie Placydyo, dotąd ukrywane
Moje zamiary, me plany otworzę...
Wszystkie me wojska są dzisiaj zebrane
Z wodzami swemi i starszyzną całą;
Ja ucztę wodzom wyprawiam wspaniałą,
I ciebie wzywam ażebyś przybyła,
I nas uczciła obecnością swoją.
Ja tam mym ludom chcę ciebie ogłosić
Królową Gotów i małżonką moją.

Placydya.

To być nie może!

Ataulf.

Iżbyś się zgodziła
Przybyłem tutaj na klęczkach cię prosić!
Wstrzymam najazdy, z Italji wyruszę,
I pokój zawrę z Cezarem twym bratem.
Gotów niechętnych do zgody przymuszę,
I dalej pójdę. Siłą mojej broni,

Ja ci Placydyo sto krajów podbiję!
Choćbym miał walczyć z całym nawet światem!...
Ja drogi nowe mym Gotom odkryję,
A wieniec sławy złożę na twej skroni!

Placydya (zamyślona).

Złudne marzenia!...

Ataulf.

O! rzeknij choć słowo,
Chciej tylko Gallo, słuchać będę ciebie!
Porzuć swą zawiść i nie bądź surową
Dla swych przekonań i dla samej siebie!
Błagam cię Gallo! dla mojej miłości,
Przebacz i odpuść to co dotąd było;
I już nadzieją szczęśliwszej przyszłości,
Niechby twe serce Placydyo zabiło!

Placydya.

Nie Ataulfie! o! nie żądaj tego!
Bo mi nie wolno rozporządzać sobą...
Chociażby nawet smutna moja dola
Skończyć się miała! Chociażbym ja z tobą
Mogła dosięgnąć szczęścia największego!
Milszą mi zawsze najsroższa niewola,
Niżeli hańba i taka niesława!
Dość Ataulfie, nie mówmy już o tem,
Mnie nie przekonasz, tylko boleść krwawa
Rozdziera serce!

Ataulf.

Przekonać cię muszę!
Przekonać sercem i moją miłością,
Ażebyś sama kochała mnie potem!
Ja wszelkich środków użyję, poruszę,
By ciebie zjednać, wyprosić u ciebie,
Wybłagać, wymódz, królowo ty moja!
Choć cząstkę serca, ty jesteś światłością
Dla mojej duszy, nadzieją, marzeniem,
Gwiazdą błyszczącą na przyszłości Niebie!

Placydya (z mocą, chcąc pokonać wzrastające wzruszenie).

Daremne słowa! żadna prośba twoja
Do mnie nie trafi, o królu i panie!
Choć z ciężkim żalem i srogim cierpieniem,
Odrzucić muszę twą szczytną ofiarę,
Bo zdradzić siebie ja nie jestem w stanie!

Ataulf.

Zdradzić?... Co mówisz?... Azaliż to zdradą?
Ukochać sercem, kochać duszą całą!
Tak jak ja kocham?... I jakąż to karę,
Za takie winy wasze prawa kładą?
Godziż się ścigać pogardą zuchwałą
Chociażby Gota, że kocha Rzymiankę?
Że przejrzał prawdę, ukochał dziewicę
Z rodu Cezarów, dzisiaj jego brankę?...
I że tę brankę, swoją niewolnicę,
Błaga na klęczkach, prosi i zaklina
O wyrok śmierci albo odrodzenia!
Powiedz Placydyo, czyż moja to wina,
Żeś mi świat nowy odkryła, wskazała,
I w duszę tchnęła cudowne marzenia,
I w szczęsną przyszłość uwierzyć kazała?...
A teraz gardzisz, odpychasz zuchwale,
I zowiesz zdradą, gdybyś mnie kochała!

Placydya.

Mylisz się królu, kochać cię nie mogę,
Nie żeś Wizygot, lecz wieczny wróg Rzymu,
I że ta walka wskazała ci drogę
Po której stąpasz; lecz z płomieni, dymu,
Czyż kwiat miłości zabłysnąć nam może?...
Zbratać się z Romą byłżebyś ty w stanie?...
Uczynić wszystko na moje wezwanie?

Ataulf (z coraz większym zapałem).

Ja?... Słuchaj Gallo... Ja broń moją złożę!
Wszystko poświęcę! całą przyszłość moją!...
Uznam Cezara, przed Rzymem się skłonię,
Czołem uderzę!... przyjmę wiarę twoją,
Znaczenie Romy mym ludom odsłonię,
Wskażę im wielkość i przewagę waszą,
Którą czcić tylko, nie walić należy!...
Nauczę Gotów, że klęską jest naszą
Wszelkie zwycięztwo nad Romą królową!
Hańbą i wstydem!... Że podłych grabieży
Wyrzec się trzeba!...

(klękając)

Przysięgam na nowo,
Że ja ci...

Placydya (zrywa się nagle--z przestrachem).

Patrzaj.

SCENA IV.

Ciż sami i Vernulf.

(Od chwil kilku wszedł Vernulf, a ujrzawszy klękającego przed Placydyą Ataulfa, stanął zdziwiony).

Vernulf (na stronie).

Co widzę? o Nieba!

Ataulf (podskoczywszy do niego).

Ty tu Vernulfie! po coś przyszedł? czego?

Vernulf.

Gwałtowna królu zmusiła potrzeba.

Ataulf (z gniewem).

Czekać tam na mnie wszak ci rozkazałem?
Tyś nie usłuchał rozkazu mojego!

Vernulf.

Wybacz mi królu...

Ataulf (z gniewem).

Wykręt nie pomoże
Skarcić potrafię!

Vernulf.

Tak, nie usłuchałem
Twoich rozkazów, lecz kara na potem,
Królu i panie! a teraz w tej chwili,
Pozwól niech tobie natychmiast przełożę
Ważną wiadomość.

Ataulf.

Mów, tylko pospiesznie.

Vernulf.

Wodzowie rzymscy w pochód się ruszyli,
Cezar ich wiedzie, donieśli mi o tem.
Jeżeli tedy wystąpimy śpiesznie,
Zgnieść ich możemy i zgnieciem z pewnością,
Gdyż Honoryusza straże pochwytane,
Tu dostawione z pewną wiadomością.

Ataulf.

Alboż on nie wie że wszystkie oddziały
Naszego ludu obecnie zebrane,
I że nasz obóz tutaj stoi cały?

Vernulf.

Właśnie że nie wie... Uderzyć wypada,
I jednym ciosem obalić Cezara,
Jeśli on padnie, Cezarat upada,
I tak do szczętu zginie Roma stara!
Lecz tylko spiesznie należy wyruszyć,
Zanim się dowie że tutaj stoimy,
Gromowym ciosem siły jego skruszyć!
Idźmy więc wodzu, na klęczkach prosimy,
Prowadź do boju!

Placydya (na stronie załamawszy ręce).

O Boże! pomocy!

Ataulf.

Więc on już blizko?

Vernulf.

Już jest o staj parę,
Nad Berentinem on stanął tej nocy.

Placydya (jak wyżej).

O Boże! wstrzymaj nad nami swą karę!

Vernulf (po chwili milczenia).

Wodzowie nasi wszyscy są gotowi,
Tylko Twojego rozkazu czekają,
Żołnierze równie, natychmiast żądają
Iść, by odpłacić podłemu Sarowi
Ostatnią klęskę.

Ataulf (do siebie).

Sam nie wiem co robić.

Vernulf (posłyszawszy ostatnie słowa z mocą).

Jakto co robić? Wszak nie trudna rada,
Łatwo Cezara będziem mogli dobić!

(z goryczą do siebie).

Chyba się knuje jakaś nowa zdrada?

Ataulf.

Milczeć nędzniku! rad nie potrzebuję,
Wracaj do wojska, ja będę za chwilę,
A bez rozkazów niech nikt nie probuje,
I bez mej woli, cokolwiek wykonać!

Vernulf.

Idę mój królu, lecz spiesz się na Boga!
Bo nie należy bardzo ufać sile,
I nie tak łatwo Cezara pokonać

(z goryczą).

Jak serca kobiet.

(odchodzi).

Ataulf (z gniewem patrzy na odchodzącego Vernulfa, po chwili do siebie).

On wszystko rozumie,
I z przyjaciela już w nim znajdę wroga.

SCENA V.

Ataulf—Placydya.

Ataulf (zbliżając się do Placydyi).

Słyszałaś Gallo jakie przyszły wieści?

Placydya.

Niestety!

Ataulf.

Gdybym samej tylko dumie
Hołdował jeszcze, na zwycięztwo pewne
Poszedłbym zaraz, i zgniótłbym Cezara.
Ale me serce inną dumę pieści,
Inna w mej duszy zabłysła już wiara,
Inne uczucia, szlachetne a rzewne.
Tobie winienem moje odrodzenie,
Tobie Placydyo! przed tobą wyznaję,
I moją wiarę, i moje marzenia,
Tobie mą duszę, me serce oddaję,
Przez ciebie Gallo dopiero poznałem
Wielkość i sławę narodu waszego
I waszej Romy i teraz uznałem
Że wasza wiedza, i światło i prawa,
Stokroć silniejsze od miecza naszego!
Że hańbą dla mnie jest każda wyprawa
Przeciw Rzymowi!... Ja moje narody
Utrzymać zdołam, przymuszę do zgody
Z waszym Cezarem...

(po chwili).

Lecz spieszyć mi trzeba!
Idę więc śmiało, choć nie wiem czy wrócę,
Czy spełnić dzieło pozwolą mi Nieba,
Ale ku temu wszystkie siły zwrócę!
Żegnam cię Gallo! dziś twojej miłości
Jeszczem nie godzien, ale mam nadzieję,

Że rychło bardzo, w blizkiej już przyszłości,
Ty mną nie wzgardzisz.

(wybiega).

SCENA VI.

Placydya (sama).

Boże! Co się dzieje!
Chwila stanowcza dla Romy i świata,
Ataulf przejrzał, jam się domyślała,
On pragnie zgody, on mojego brata
Uzna Cezarem. O! dzięki ci Boże!
Żem go nawrócić mem sercem zdołała...
I serce oddam, wszak godzien jest tego!
Ale czy tylko on dokonać może
Swe przedsięwzięcie? Czy siły mu stanie
Czy zwalczy opór narodu swojego?
Honoryusz blizko, a ten Vernulf stary,
Czy nie przeszkodzi? Na jego wezwanie
Czy lud ten dziki nie zniszczy zamiary
Króla swojego.

(po chwili milczenia).

Ty go wspieraj Boże
W tem wielkiem dziele! Niechaj łaska twoja
W tem przedsięwzięciu jemu dopomoże!

(po dłuższem milczeniu).

Ciesz się me serce! bo już przyszłość moja
Wielka i jasna — spełnione marzenia!...
Ludu i moje skończone cierpienia!

Koniec aktu II-go.

(d. c. n.).

MATKA MARGRABINY

HUMORESKA

przez Edmunda About

spolszczyła ELIZA S.

(Ciąg dalszy).

Pani Elianna czuła się lekką jak sikorka; stąpała nie tykając ziemi; odmłodniała o lat piętnaście, od oczów jej promienie biły. Śmiała się śpiewając, płakała tańcząc, a na ulicy porywała ją chętka zatrzymywać przechodniów i opowiadać o swoim tryumfie. Sama o tem nie wiedząc, kłaniała się damom które spotykała w herbowych powozach. Tyle czułości okazywała margrabiemu, spowiła go w taką sieć troskliwych zabiegów i nadskakiwań, że Gaston, który w dzieciństwie stracił rodziców i oddawna nie znał co to być pieszczochem, powziął szczere przywiązanie ku przyszłej matce. Ciągle prawie był przy niej, towarzyszył jej wszędzie, i nawet się z nią nie nudził, mimo to że nigdy rozmowy na fabrykę nie mógł naprowadzić.

W przed-dzień wyjazdu, pani Benoit nie puściła go na krok od siebie. Pojechała z nim najprzód do magazynu Tahana, i wybrała przy nim wielkie ozdobne pudełko z drzewa różanego długie, szerokie, a płaskie, z przedziałami nierównej miary wewnątrz.

— Do czego może służyć ta dziwna skrzynka? spytał Gaston wychodząc.

— To ślubny koszyk mojej córki.

— Ależ pani, odezwał się margrabia z dumą ubogiego, zdaje mi się że to do mnie należy...

— Bardzo ci źle zdaje się, kochany margrabio. Gdy zostaniesz mężem Celiny, będziesz jej robił podarunki jakie zechcesz. Nazajutrz po ślubie, zostawię ci pełną swobodę, ale do tego czasu, ja tylko jedna mam prawo dawać dary mojej córce. Uważam ten zwyczaj za bardzo nieprzyzwoity ażeby młody człowiek kupował panience stroje i klejnoty, kiedy jeszcze niczem jest dla niej. Mów pan sobie że się trzymam śmiesznych przesądów, ale jestem za stara abym się mogła poprawić. Dziś wybierzemy razem moje podarunki, a za miesiąc, jeżeli pan zechcesz, dopomogę ci w wyborze twoich.

Nie trudno było tem dowodzeniem zaprzeczyć. Ale wdówka przemawiała takim pieszczotliwym i macierzyńskim tonem, że margrabia oprzeć się nie umiał. Od trzech dni już prowadził rokowania z pewnym lichwiarzem z powodu tego koszyka, dał się więc poprowadzić do dwudziestu magazynów i wybierał posłusznie materye, szale, koronki i świecidła. Brylantów nie kupowano; pani Benoit miała ich tyle, że mogła bez uszczerbku własnego, podzielić się z córką.

W dniu zapowiedzianym, pani Benoit pożegnała zięcia i naznaczyła mu termin przyjazdu na 12 maja, i wzięła na siebie staranie kazać ogłosić pierwsze zapowiedzi u mera.

Gdy przyjechała do domu, pierwszą myślą Celinki było że jej w Paryżu zamieniono matkę. Nigdy jej nie znała tak pobłażliwą i tak słodką, co tylko Celina zrobiła, wszystko było dobrem, co powiedziała było rozumnem, czyny jej były anielskie, słowa złote. Czuła matka nie potrafiłaby nigdy przenieść rozłączenia z córką tak bardzo ukochaną, powiedziała ze łzami w oczach, że wszędzie za nią pójdzie, nie odstąpi jej aż do śmierci, dodając jak Noemi do Ruty, twój kraj będzie moim krajem.

Celinki serce otworzyło się ku tej nowej matce, jak pączek młodej roślinki ku ciepłemu słońcu. Z uniesieniem radości dowiedziała się że jest na świecie wielu margrabiów, młodych, przystojnych, i nie noszących sukien z blaszkami.

W parę dni po powrocie pani Benoit, przyjaciółka jej, pani Mélier, przyjechała do niej z oznajmieniem o blizkiem małżeństwie córki swojej Lucyi, z panem Jordy, właścicielem cukrowni w Paryżu. Pan Jordy był to młodzieniec zacny i bardzo bogaty; pani Mélier nie taiła swojej radości z tak pomyślnego losu córki. Pani Benoit z pośpiechem odwetowała wiadomością o zamęźciu Celiny. Nastąpiły zobopólne powinszowania, i pokilkakroć powtarzane uściski, a gdy pani Mélier odjechała, Celina, która od dzieciństwa żyła w ścisłej przyjaźni z przyszłą panią Jordy, zawołała:

— Co za szczęście! Gdy zamieszkam w Paryżu, będę zawsze blisko Luci, będziemy często odwiedzały się wzajemnie, choćby codziennie.

— Dobrze, moje dziecko, ty będziesz jeździć do niej w karecie z herbami, za którą stać będą suto upudrowani lokaje. Twoi znajomi nie koniecznie potrzebować będą wiedzieć gdzie bywasz, ale przyjmować ją u siebie, to inna rzecz. Masz obowiązki względem swojego towarzystwa, i nie można przekraczać ustaw tego koła, w jakiem się żyje. W salonie twoim zasiadać będą hrabiny i księżne, jakże możesz dopuścić aby się ocierały o żonę rafinatora, człowieka który wyrabia głowy cukru. Nie masz czego zachmurzać się... jest na to rada, możesz przyjmować Łucyę przed południem.

— Mój Boże! cóż to za nieznośny kraj, ten Paryż. Wolałabym zostać w naszym cichym Arlanżu, bo tu przynajmniej o każdej godzinie wolno widywać się z przyjaciołmi.

Pani Benoit odpowiedziała sentencyonalnie:

— Żona powinna iść za mężem.

Niebawem rozniosła się w okolicy pogłoska o wielkiej uroczystości gotującej się w Arlanżu. Pani Mélier objeżdżała sąsiedztwo, a że rozwoziła uwiadomienie o jednych zaślubinach, przy tej sposobności ogłaszała i drugie i w każdym domu z kolei, powtarzała frazes jaki sobie ułożyła wyjechawszy od pani Benoit:

Znając życzliwość państwa dla całej mojej rodziny, mam sobie za miły obowiązek osobiście zawiadomić ich o małżeństwie mojej córki Łucyi. Wychodzi ona, nie za margrabiego wprawdzie, jak córka pani Benoit, ale po prostu za fabrykanta, pana Jordy, który w trzydziestym roku życia, jest już jednym z najbogatszych rafinatów w Paryżu.

Pani Mélier miała dobre konie. Powóz jej, i zawarte w nim nowiny, przed nocą jeszcze obiegły mil dziesięć. Domorosłe przedmieście St. Germain zaczęło chórem ubolewać nad Celiną, i wyśmiewać panią Benoit, że znalazła dla córki nowego Kerpry. Pani Elijannie nie tajne były te gadaniny sąsiedzkie, ale nie dbała o nie wcale, zabrała dokumenta Outreville'ów i pojechała z wizytą do baronowej Sommerfogel, staruszki mającej wiele wpływu w okolicy, i znanej z pierwszorzędnego talentu do obmowy i ploteczek.

— Pani baronowo, przemówiła tonem pełnym uszanowania, chociaż zaledwie parę razy miałam zaszczyt widzieć panią w moim domu, jednak łatwo mi było ocenić nieomylność sądu, znajomość świata, niepospolity rozum, i trafność spostrzegania, które pani nad wszystkimi dają przewagę. Wiadomo pani jak nieszczęśliwie dałam się podejść oszustowi, który nie wiem jakim sposobem, przez czas długi szczycił się przywłaszczonem nazwiskiem znakomitej rodziny. Dziś trafia się mojej córce los bardzo świetny na pozór, stara się o nią margrabia d'Outreville. Mam u siebie jego drzewo genealogiczne, i wszystkie pargaminy rodowe z najodleglejszych czasów, ale jestem biedną kobietą, nie znającą się na tych rzeczach. Przekonałam się o tem w bardzo smutny sposób, teraz gdy idzie o los mego dziecka, nie śmiem polegać na sobie. Czy pani Baronowa nie raczyłaby pozwolić, ażebym te dokumenta pod jej sąd poddała? Zdanie pani wszelką wątpliwość stanowczo usunie.

Ta przemowa zręcznie przygotowana pochlebiła próżności i podrażniła ciekawość baronowej. Przyjęła hożą wdówkę bardzo uprzejmie, z widocznem zadowoleniem obiecała odpowiedzieć godnie jej zaufaniu w przedmiocie tak wielkiej uwagi. Tegoż samego dnia zwołała pospolite ruszenie z całej szlachty okolicznej, i papiery Gastona przeszły kolejno przez ręce co najmniej trzydziestu wiejskich arystokratów. Tego właśnie pani Benoit spodziewała się, i pragnęła: ten zwój szacowny, zdaleka wiejący zapachem starożytności, wywarł wielkie wrażenie na wszystkich wysoko-urodzonych, którzy doń zbliżali swoje oczy i nosy. Ci nawet którzy niedawno najmocniej powstawali na panią Benoit, nagle powzięli żywą ku niej przychylność. Zabrzmiał jednozgodny koncert pochwalny, w którym pani Sommerfogel spełniała obowiązek dyrektora orkiestry.

— Ta biedna pani Benoit, teraz pocieszy się! mówił jeden. Szczerze rad jestem, zacna to osoba,

— Ten łotr Benoit co tak ją wywiódł w pole, to był nikczemnik, niegodziwiec, wtórował drugi.

— Żałuję bardzo że nie znałem ją wtenczas, byłbym ją ostrzegł że to lis farbowany, przydał trzeci.

— Nie można brać jej za złe, że pragnęła spokrewnić się ze szlachtą, prawił inny. To dowodzi że rozumni mieszczanie umieją cenić stan szlachecki.

— Pani Benoit nie zbywa na rozumie.

— Ani też na wdziękach. Nie wiem jaki ma sekret, że zawsze młoda i piękna.

— A córka! Toż istny aniołek.

— Dawno już jej nie widziałem, od 36 roku już wiele obiecywała.

— Teraz ją często widywać będziemy, kiedy należy do naszej sfery.

— Jej wychowanie już ją z nami równało. Wiadomo mi z dobrego źródła, że matka od dawna ją przygotowała do wysokiego stanowiska w świecie.

— I matka odtąd należy do naszego towarzystwa. Córka nie oddziela się od matki.

— Margrabia spodziewany za dni kilka, podtrzyma znakomicie honor naszej okolicy.

— Powiadają że jest niesłychanie bogaty.

— Świetnie swój dom prowadzić będą.

— Nasze młode panny powinny się cieszyć, będą miały częste bale w Arlanżu.

— Będziemy na weselu nieodmiennie.

Zaraz nazajutrz, w salonach pani Benoit tłoczyła się ciżba serdecznych przyjaciół, których od lat piętnastu nie widziała.

Margrabia przyjechał na dzień oznaczony. Wystarawszy się o tysiąc franków na gruby procent lichwiarski, spakował swoje rzeczy, uściskał barona, i zabrał się dyliżansem do Dieuze. Tam najął kabryolet i konia, i tak dojechał do Arlanżu. Zbliżając się do wsi, uczuł w piersiach dziwne kołatanie którego przedtem nie doświadczał. Musimy wyznać, na zawstydzenie uczonego a na pochwałę człowieka, że w tej chwili nie myślał o fabryce, tylko o Celinie.

Zabawne było pierwsze spotkanie narzeczonych. Żadne z nich nie zmieszało się, ani zakłopotało, Spojrzeli sobie śmiało w oczy, z ciekawością naiwną, ze szczerą prostotą niewinności: serce Gastona było prawie tak świeże i tak czyste jak serce Celiny. Chociaż się nigdy przedtem nie widzieli, uczuli odrazu że są stworzeni dla siebie, i od pierwszego spojrzenia pokochali się, od pierwszych słów stali się przyjaciołmi. Z obu stron młodość i piękność przyciągały się nawzajem, a miłość powstała i wzrosła w ich sercach bez żadnej tajemnicy, jak jasne słońce letnie które wschodzi bez chmury.

Pani Benoit ani myślała stawić przeszkód postępom uczucia, które tak pomyślnie nadawało się do jej widoków. Dopuściła dwojgu młodym używać do woli tej miłej swobody, która na wsi nie razi nikogo. Od pierwszego dnia Celina sama bawiła gościa swego, w domu, w ogrodzie i w lesie. Zaraz po śniadaniu wyjeżdżali konno oboje, i zawsze spóźniali się na objad, jak rozswawolone dzieciaki wracające ze szkoły. Po zwiedzeniu lasu, przyszła kolej na fabrykę. Gaston miał tyle mocy nad sobą, że nie poszedł sam jej oglądać, i wyczekał cierpliwie aż go Celina wprowadzi. Ale gdy przekonał się że ona chętnie tam przebywa, że zna każdego robotnika po imieniu, że się interesuje losem tych ludzi ciężko na chleb pracujących, i że ją zajmują postępy robót, radość jego nie miała granic. Uczucie zadowolenia i wdzięczności podwoiło jego miłość ku tej ślicznej dzieweczce, która w zbytkach wychowana, nie pogardzała pracą. Natenczas już bez przymusu oddał się swej wrodzonej skłonności. Rozpatrywał roboty, badał dozorców, dawał rady naczelnikom warsztatów. Celina zachwycała się i dziwiła nad jego wysoką nauką, a pani Benoit mawiała, gdy wracali okopceni i usmoleni:

— Co to znaczy być młodym! wszystko zajmuje, wszystko bawi, nawet sadze, kopce i śmiecie fabryczne.

Na wypoczynek po strudzeniu, młodzi narzeczeni siadywali w ustroniu ogrodu, pod cieniem kwiecistej altany, i rozmawiali o przyszłości. Układali sobie życie wypełnione miłością i pracą, odosobnione i spokojne, cieszyli się zawczasu myśląc, jak swobodnie i szczęśliwie dni im płynąć będą w ciszy przepysznych lasów Arlanżu. Chcieliby jak ptaszęta uwić sobie gniazdko w gęstwinie krzewu lub na gałązce najbujniej liśćmi okrytej. O Paryżu, o przedmieściu, o próżnościach światowych, ani wzmianki nie było: Celina nie znała zabaw i uciech wielkiego świata, Gaston nie lubił ich, a teraz o nich zapomniał zupełnie.

W przedostatnim dniu maja, zrana, pani Benoit oznajmiła dwojgu zakochanym nowinę ważną: tegoż dnia wieczorem umowa ślubna miała być spisaną. Obrzęd ślubu odbyć się miał w kościele 1-go czerwca, a w wigiliją dopełniała się u mera formalność cywilnego kontraktu. Spisanie umowy miało być poprzedzone objadem bez końca, na który wszystkie znakomitości okoliczne zostały sproszone. Pani Benoit potrzebowała wynadgrodzić sobie długie lata wyczekiwania.

Mając jeszcze kilka godzin wolnych przed zebraniem się gości, Gaston i Celina chodzili po ogrodzie, w słomianych kapeluszach, on w białem letniem ubraniu, ona w jasnej muślinowej sukience. Gdy przechodzili w pobliżu fabryki, zawiadowca, który wysoko cenił zdanie Gastona, przystąpił ku niemu prosząc o radę w pewnej ważnej kwestyi. Weszli więc wszyscy troje; próba jakaś bardzo zajmująca odbywała się na jednym z warsztatów, Celina stała trzymając rękę Gastona, lecz usłyszawszy że czwarta bije na zegarze fabrycznym, pobiegła co żywo stroić się do gości. Wychodząc, rzekła do Gastona:

— Pan masz dosyć czasu, możesz zaczekać końca, zostań więc tu jeszcze.

Gaston został, i tak mocno zajął się ulubionym przedmiotem, że i sam przyłożył rękę do dzieła. O w pół do szóstej przypomniał sobie nakoniec że i jemu pora być gotowym. Wyszedł spiesznie z kuźni, z rękawami zakasanemi, z czarnemi jak u murzyna rękami, popiętnowany sadzą na całem ubraniu. Chciał przemknąć się ogrodem do swej stancyi, lecz na zakręcie ulicy wpadł niespodzianie na grono postrojonych gości, spacerujących w chłodzie drzew cienistych. Ktoś z obecnych poznał go i zawołał po imieniu. Był to inżynier, prowadzący roboty w kopalniach soli w Dieuze, szkolny towarzysz Gastona. Szkoła politechnicza i przedmieście St. Germain mają tę wspólną cechę, że ich wychowańcy jak masoni, poznają się wszędzie. Gaston postąpił do przyjaciela z otwartemi ramionami i ucałował go serdecznie, trzymając obie ręce w powietrzu aby go nie posmolić. Patrzyły na to dwie czy trzy damy z wysokiego tonu, i dziwiły się mocno że margrabia wygląda jak kominiarz i ściska się poufale z dyrektorem kopalni. Ale raczyły wkrótce udobruchać się gdy niebawem pokazał się wyświeżony i ubrany podług najnowszej paryzkiej mody.

Baronowa Sommerfogel nie była na objedzie. Szanowna dama przy wyjeździe dostała gwałtownej migreny. Gdy zajęto miejsca u stołu, Gaston znalazł się obok swego przyjaciela inżyniera, i służył za cel, do którego kierowały się wszystkie oczy. Każdy z gości, a szczególniej deputowani szlachty, oczekiwali chciwie na uprzejme jego wejrzenie albo grzeczne słówko, zupełnie jak dworacy na łaskawe skinienie króla. Ale serce Gastona zbyt przepełniały dwie silne namiętności razem skojarzone, by mógł zwracać uwagę na zbiór śmiesznych postaci, które w około niego wypychały żołądki i prawiły niedorzeczności. Widział jedną tylko Celinę, słyszał tylko sąsiada inżyniera, chociaż panowie okoliczni, dumni ze swego rodu, sądzili że go bardzo zajmą rozmową wpół-polityczną, w której zastarzałe przesądy kastowe wyskakiwały na jaw, jak żabki po ciepłym deszczyku. Utyskiwano na porządek obecny, żałowano za minionym stanem rzeczy, ale te zachwycające nonsensa, godne prawdziwych magnatów z dobrych czasów, brzmiały obok uszu Gastona nie dochodząc do jego umysłu.

Wśród krótkiej przerwy w ogólnym dyskursie, posłyszano urywek rozmowy Gastona z inżynierem.

— Macie w kopalniach żelazną drogę podziemną, mówił margrabia, po czemuż płacicie relsy?

— Tu w kraju, 1,000 kilosów po 360 franków, a beczka (¹) angielska, o 15 kilosów więcej ważąca, kosztuje na pokładzie okrętowym od 11-stu do 12-stu funtów sterlingów.

— Mam nadzieję, że zapomocą pewnych pieców oszczędnych mojego pomysłu, których plan pokażę ci, można będzie z czasem wyrabiać u nas towar doskonały, nierównie tańszy od angielskiego, po dwieście franków za beczkę.

— Ty zawsze jesteś jednakowy!

— Nie, teraz gorszy! A powiedz mi, czy u was liny pękają kiedy?

— Bardzo często! Zeszłego miesiąca straciliśmy czterech ludzi.

— Ja wskażę ci sposób zapobiegania takim wypadkom.

— Wynalazłeś więc środek ochraniać liny od pęknięcia.

— Nie, ale mam sposób utrzymać w zawieszeniu nad studnią ciężar spadający. Praktykowałem ten system przez trzy lata w kopalniach węgla w St. Etienne gdzie kierowałem robotami, i ani razu nie wydarzył się u nas żaden smutny wypadek.

Całe grono dostojnych gości nastawiało uszu, otwierało oczy, a pani Benoit, rumieniąc się z oburzenia, w głębi duszy serdecznie życzyła zięciowi nagłego paraliżu języka. Wice-hrabia de Burgaltroff nieśmiało wmieszał się w rozmowę:

— Pan margrabia posiada kopalnie węgla w departamencie Loary? — zapytał.

— Nie, panie, odrzekł Gaston. Byłem tam dyrektorem robót.

Pani Benoit na tak otwarte wyznanie o mało trupem nie padła, a lękając się powtórzenia tak zabijającego wzruszenia osądziła że goście dostatecznie już nasyceni, i wstała od stołu.

Przechodząc do salonu panowie szeptali:

— Szczególniejszy margrabia, co czerni sobie ręce w kuźni, ściska się z górnikami, wynajduje machiny, troszczy się o obniżenie ceny relsów, spełnia płatny obowiązek u węglarza w St. Etienne, i nie tai się z tem...

Wyrozumialsi i pobłażliwsi, którzy nie byli w liczbie przemagającej, probowali tłomaczyć Gastona.

— Przecież, mówili, Ludwik VI lubił zajmować się ślusarstwem.

— A Ludwik VIII pisał wiersze łacińskie.

— Henryk III bawił się goleniem brody swoim dworzanom.

— Ależ moi panowie, przerwał jeden z surowszych, czyliż kiedy widziano aby wielki pan dla rozrywki tłukł węgle w jakiejś dziurze.

— O panie, odparł pobłażliwszy, w czasie emigracyi własny mój ojciec siarkował zapałki w Berlinie.

Pani Benoit nie wątpiła że Gastona biorą na fundusz, ale nie obchodziło ją to wcale.

— Żartujcie sobie ile się wam podoba, moi łaskawcy, myślała w duchu. Zmusiłam was że uznaliście mego zięcia za prawdziwego margrabię, za rzeczywistego potomka starożytnej szlachty, i przybyliście tu ukorzyć się przedemną. Benoit wymazany z rachunku, strącony w nicość, a ja jestem pomszczona, a wy obchodzicie moje zwycięztwo. Za tydzień wyjeżdżam do Paryża, a nim znów zjawię się w Arlanżu, najmłodsi między wami będą mieli czas posiwieć.

(¹) *La tonne.*

Co do pana margrabi dziwak to pierwszej ręki, ale jak tylko zamieszka w swoim pałacu i ujrzy się w towarzystwie panów sobie równych, wyleczy się prędko ze swej manji połykania sadzy.

Nim przystąpiono do podpisu umowy, pani Benoit kazała wnieść do salonu koszyk ślubny. Gdy go otworzono, Gaston odzyskał łaskę w oczach wszystkich dam obecnych. Spadła na biednego młodzieńca ulewa pochwał i powinszowań, od których nie śmiał bronić się z obawy rozgniewania pani matki. Przyrzekał tylko sobie pocichu, że w pierwszej chwili wolnej, całą prawdę wyjawi Celinie.

Gdy notaryusz rozwinął akt umowy, każdy z ciekawością cisnął się bliżej. Nie szło tu o posag Celiny, bo ten znano, lecz wszyscy pragnęli posłyszeć wyliczenie majętności i zamków pana młodego. Zawiedziono się niepomiernie: margrabia d'Outreville wnosił: swoje prawa i przywileje.

Nazajutrz odbył się ślub cywilny przed urzędem mera. Każde z oblubieńców odpowiedziało: „tak jest“ — wyraźnie i stanowczo, a kiedy pan mer, z księgą prawa w ręku, wygłosił poraz setny w życiu że „małżonka iść powinna za mężem“, pani Benoit mrugnęła na córkę w sposób znaczący, że ta sentencya wielką ma wagę.

Za powrotem do domu, rzekła do Gastona:

— Mój kochany zięciu, bo jesteś mi już zięciem w obliczu prawa, jutro ci oddam do rąk twoją rentę za pierwsze półrocze.

— Nic pilnego, moja matko, odpowiedział młody człowiek. Na cóżby mi przydała się tak wielka suma? Nie w pieniądzach zakładam szczęście, dodał patrząc na Celinę.

— O! nie gardź tak bardzo temi biednemi pieniędzmi, odezwała się pani Benoit, za kilka dni wiele ich będziesz potrzebował w Paryżu.

— W Paryżu? Wielki Boże! cóżbym ja miał do czynienia w Paryżu?

— Jakto co? Zamieszkasz z żoną w swoim pałacu, odnowisz stosunki z krewnemi i z przyjaciołmi, i przygotujesz sobie koło towarzyskie na przyszłą zimę i na całe życie.

— Nie pani, ja mam stałe postanowienie w Paryżu nie mieszkać. To miasto niezdrowe, wszystkie w nim kobiety są chore, a rodziny gasną w trzeciem pokoleniu. Czy wiesz pani że Paryż co sto lat zamieniałby się w pustynię, gdyby prowincye nie były opanowane szałem dosyłania mu ludności?“

— Otóż właśnie dla tego aby nie zamienił się tam w pustynię, postanowiłam że się tam wszyscy przeniesiemy jak najprędzej — odparła pani Benoit.

— Pani mi o tym zamyśle nic nie mówiłaś, rzekł Gaston, zwracając się do Celiny.

Panienka spuściła oczy i milczała; obecność matki ciężyła na niej, która nie dopuszczając odpowiedzi odezwała się żywo:

— To rzecz tak jasna że mówić o tem nie było potrzeby. Moja córka jest margrabiną d'Outreville, i jej miejsce na przedmieściu Saint Germain, wszak prawda Celino?

Celina, wdrożona do biernego posłuszeństwa, odpowiedziała: tak jest, — niewyraźnym i zaledwie dosłyszanym głosem. Nie w taki sposób odpowiadała przed merem.

— Na przedmieściu, powtórzył Gaston zachmurzony, na przedmieściu! Ciekawą jesteś pani salonów przedmieścia, pytał dalej patrząc w oczy Celinie. A czy wiesz cobyś tam zobaczyła? Panienki oschłe, niesmaczne, bez życia, jak owoce pod szkłem hodowane; młode mężatki dla których zabawy i stroje są celem istnienia, a próżność i kokieterya żywiołem; panie podeszłego wieku, znudzone i nudne, nie zalecające się ani powagą naszych prababek z XVII stulecia, ani wesołością i dowcipem dam dworu Ludwika XV, starców nie zasługujących na szacunek, ogłupiałych z czuwania nad wistem; młodzików niedowarzonych a zarozumiałych, którzy w rozmowie plączą nazwiska koni wyścigowych z imionami kaznodziejów; ludzi sposobnych do pracy i czynu wyznających polityczne zasady bez przekonania, rozwodzących żale udane, wystawujących na pokaz uczucia wierności w nadziei przywabienia nabywcy; grzeczności kłamane, ukłony obłudne, — oto jest przedmieście, Celino. Masz je opisane tak dokładnie jak gdybyś je sama widziała. Dziwna rzecz! żyjesz pani w pośród lasów przepysznych, otoczona ludem który cię kocha, masz majątek co daje ci możność wiele dobrego czynić na świecie, masz zdrowie, bez którego wszelkie przyjemności żadnej nie mają wartości, latem rozrywki wiejskie, zimą ciche zabawy w kółku dobranych przyjaciół, teraźniejszość ozłoconą miłością wzajemną, przyszłość promieniejącą nadzieją szczęścia rodzinnego, i to wszystko chciałabyś porzucić i zamienić na życie, w którem spotkasz tylko czczość serca i umysłu, próżniactwo, i fałsz. Ja nie chcę być wspólnikiem w zamysłach, z których wyniknęłoby tylko rozczarowanie, a potem żal niewczesny, i jeżeli pani wejdziesz w stosunki z przedmieściem, z pewnością nie ja ciebie tam wprowadzę.

Gaston oczywiście przemawiał z uprzedzeniem, i przesadzony dawał obraz przedmieścia, ale mówił szczerze. Osierocony od lat dziecinnych, w pośród szkolnych towarzyszy pełnych energji i zapału do pracy, nabył hartu ducha, umiłował naukę, przywykł do życia wypełnionego trudem, a gdy później spojrzał trzeźwem okiem człowieka czynu na to świetne koło arystokracyi z którem był zbratany urodzeniem, a obcy mu zupełnie poglądem na życie i jego obowiązki, usunął się ze wstrętem od tego co nazywał ogniskiem bezmyślnej pychy, samolubstwa, i próżności to jest od przedmieścia St. Germain, i dał sobie słowo na zawsze rozbrat z niem uczynić.

Pani Benoit, słuchając mowy zięcia, wyglądała zupełnie jak dziecko, które z wielkim trudem wybudowawszy wysoką wieżę z kart, nagle widzi jak budowa cała wali się i rozpada ze szczętem, a ono stoi z opuszczonemi rękami, zrozpaczone i wylękłe. Zimno zrobiło się jej w sercu, i zaledwie zdołała przytłumionym głosem przemówić do córki:

— Odpowiedzże mu!

Celina wzięła rękę Gastona, i patrząc na matkę odezwała się nieśmiało:

— Żona powinna iść za mężem.

Gaston z uśmiechem uszczęśliwienia, przycisnął do serca swoją ukochaną, i serdecznie obie jej rączki ucałował. *(d. c. n.)*

Korespondencya ze Lwowa.

W ostatnich kilkunastu latach nasza młodzież zaczęła garnąć się do szkół realnych i zakładów technicznych w stosunku szybko i znacznie wzrastającym. Dawniej kilka szkół realnych w Galicyi miało zaledwie wystarczającą liczbę uczniów a dziś choć liczba tych szkół jest kilka razy większa, wszystkie tak są przepełnione, że okazuje się ciągle potrzeba rozszerzenia istniejących zakładów za pomocą klas równorzędnych lub tworzenia nowych. Najwspanialsze budowy, jakie obecnie oglądać można we Lwowie, przeznaczone są dla młodzieży oddającej się studyom technicznym. Miasto buduje drugi rok okazały budynek na pomieszczenie szkoły realnej, której nie wystarczały już dotychczasowe obszerne sale w ratuszu, a państwo trzeci rok wykłada krociowe, już teraz milijona złr. dosięgające sumy na nowy gmach dla techniki. Jestto w każdym razie objaw charakteryzujący nowy prąd w rozwoju stosunków publicznego kształcenia młodzieży. Zdawałoby się, że szkoły realne i technika rozwijają się kosztem gimnazyów i uniwersytetów, że w miarę jak pierwszym przybywa świeży zastęp kandydatów, uszczupla się ciągle liczba uczniów. Tymczasem tak nie jest, bo żadne z gimnazyów nie poniosło znacznego uszczerbku w dotychczasowej liczbie uczniów a w niektórych liczba ta wzrasta owszem w stosunku bardzo pięknym. Gimnazyum polskie we Lwowie posiada już od kilku lat tylu uczniów, że niemal każda klasa dzieli się na kilka oddziałów równorzędnych. Z każdym rokiem liczba uczniów wzrasta a ponieważ dotychczasowy budynek wraz z wynajmowanemi co rok w sąsiednich kamienicach salami nie może już pomieścić wszystkich klas, więc i dla tego gimnazyum wznosi miasto równocześnie gmach wcale okazały. Z tych uwag da się wysnuć bardzo pocieszający wniosek, iż liczba uczniów uczęszczających do szkół średnich wzrasta od kilkunastu lat tak znacznie, że chociaż przemagający prąd ku studyom technicznym porywa za sobą znaczny procent, mimo to w uniwersytetach liczba studentów nie zmniejsza się.

Wzrost uczni w szkołach technicznych osiągnął już punkt kulminacyjny, z którego teraz może powoli spadać zacznie. Studya techniczne popłacały przed kilku laty, gdy uzupełniała się sieć najniezbędniejszych kolei żelaznych a w skutek tego poszukiwano młodych i zdolnych techników. Było to prawdziwe żniwo dla młodych inżynierów. Jeszcze uczyli się do egzaminu a już mieli w kieszeni zapewnienie, że zaraz po otrzymaniu świadectwa dostaną posadę bardzo korzystną. Płaca przekraczająca tysiąc złr. na początek była zjawiskiem tak powszednie, że nie widziano w tem nadzwyczajnej karyery. Teraz jednak nastąpił zwrot bardzo niepomyślny dla techników. Każda kolej potrzebowała do budowy wielu inżynierów, ale po jej ukończeniu zatrzymywała na stałych posadach tylko pewną część tych, którzy odznaczali się wyższemi zdolnościami. Dopóki trwała budowa innych drugorzędnych linji nie brakło korzystnych posad prowizorycznych, ale i to się skończyło, bo przesilenie giełdowe, zatkało źródła, z których każda entrepryza kolejowa czerpała na zawołanie obfite środki pieniężne. Ponieważ przesilenie to zakreśliło sobie koło bardzo szerokie i zagranicy może więcej dało się uczuć niż krajowi naszemu, przeto do Galicyi ściągać się zaczęli także technicy z innych prowincyi austryjackich, nieznający nawet języka krajowego, ale mimo to pełni wygórowanych pretensyi. Nasi wielcy finansiści i przedsiębiercy kolejowi mają jednak jakąś dziwną słabość do przybyszów niemieckich czy uprzedzenie do fachowych ludzi z kraju. Mimo wszelkich upomnień, przestróg i nagan prasy ta słabość czy uprzedzenie trwa dotąd, nie dziw zatem, że nasi inżynierowie musieli i muszą staczać z tymi przybyszami bardzo trudną walkę konkurencyjną. Dziś wielu młodych inżynierów, którzy zaraz po ukończeniu studyów otrzymali płace równe wysokim posadom w innych gałęziach służby publicznej, musi zadowalać się nędznem chwilowem pomieszczeniem a technicy opuszczający akademiję mają przed sobą bardzo małe widoki. Wpływa to już widocznie na kierunek studyów dorastającego pokolenia, które szukać musi nowych źródeł pracy. Górnictwo za to jedna sobie coraz więcej adeptów, bo rzeczywiście gałęź ta leży u nas zupełnie odłogiem a wszelkie wskazówki przemawiają za tem, że przy większem poświęceniu pracy i kapitałów mogłoby się stać ważnem źródłem dobrobytu krajowego. Już od kilku lat podniesienie górnictwa za j

muje uwagę sejmu, który pierwotnie okazywał się skłonnym do utworzenia fachowego biura dla spraw górniczych i kilka razy przedstawił rządowi potrzebę urządzenia poszukiwań górniczych w naszym kraju. Fachowe bióro górnicze nie powstało dotąd, bo górnictwo posiada już organa z ramienia rządu ustanowione a krajowe bióro górnicze nie miałoby zakresu odpowiadającego założeniu wnioskodawców. Zresztą nie tak pilnemi są świeże poszukiwania górnicze jak umiejętne wyzyskanie tego, co już obecnie Galicya posiada. Chodzi nam tu głównie o kopalnię nafty i wosku ziemnego, które mimo nieprzebranej obfitości nietylko nie przynoszą odpowiedniej korzyści przedsiębiercom i ogółowi, lecz nadto marnieją wskutek niedołężnej eksploatacyi. Kopalnie nafty w Galicyi wyglądają z małemi wyjątkami tak okropnie, że kto widział tę gałęź przemysłu górniczego za granicą, zrozpaczyć musi o kraju nieszanującym skarbów. które mu ziemia odsłania. Kopalnie te po większej części w rękach żydów znajdujące się, prowadzone są tak nieumiejętnie, że nieraz obfite źródło nafty ginie marnie a życie robotników wisi zawsze na włosku. Jeden przedsiębierca kopie jamę obok drugiego jak bądź, okrada swojego sąsiada ale tylko chwilowo, bo najczęściej obaj w krótkim czasie tracą wspólne źródło. Okropny widok przedstawia dla znawcy słynny w świecie z swoich kopalni nafty Borysław. Nie ma tam piędzi ziemi nietkniętej, ale wszystko idzie z dnia na dzień i może tylko mała część nafty dostaje się chciwym a nieumiejętnym przedsiębiercom, reszta zaś marnieje. Borysławskie kopalnie są tak urządzone, że po prostu nie można ich nawet z blizka oglądać nie narażając się na niebezpieczeństwo utraty życia. Cóż dopiero mówić o biednych robotnikach, których wielu ginie corocznie, jedynie z powodu złego urządzenia i prowadzenia kopalni. Tym stosunkom opłakanym zaradzić może najprędzej poddanie przemysłu naftowego pod przepisy eksploatacyi górniczej, które dokładnie oznaczają, jak należy zakładać i prowadzić kopalnie. Zanosiło się już na to kilka razy w sejmie, ale zawsze sprawa upadła wskutek błędnego jej pojmowania. Nasi właściciele gruntów, w których znajduje się nafta, nie chcą dopuścić do zastosowania ustawy górniczej, bo w takim razie nie mogliby wygórowanemi cenami za kawałeczek ziemi utrudniać eksploatacyi, lecz w danym razie z urzędu zostaliby zniewoleni do jej odstąpienia za słusznem wynagrodzeniem. Ale ten opór zaślepiony, szkodzący niemało samym właścicielom gruntów a głównie dobrobytowi krajowemu, musi być złamany w czasie jak najkrótszym. Czują to sami zwolennicy i obrońcy dzisiejszego stanu rzeczy, to też nie kuszą się już o zupełne udaremnienie zamierzonej reformy lecz przynajmniej o zwłokę. Dopóki reforma ta nie stanie się faktem, nie wiele nam pomoże największy zastęp gruntownie wykształconych górników ale zawsze lekceważyć tego niemożna, że górnictwo staje się z każdym dniem ponętniejszym fachem dla naszych techników. Niezadługo znajdą oni wdzięczne pole do pracy w zreformowanym do gruntu przemyśle naftowym. Że każda użyteczna praca około tej reformy może liczyć na publiczne poparcie, okazał niedawno Wydział krajowy udzielając docentowi chemji przy tutejszej akademii technicznej p. Grabowskiemu wysoką, bo tysiąc złr. wynoszącą subwencyę, ażeby zwiedzając wystawę filadelfijską mógł zarazem zrobić wycieczkę do amerykańskich kopalni nafty i spostrzeżenia zrobione przedstawił potem interesowanym kołom w fachowem sprawozdaniu. Subwencya dostała się w dobre ręce i nie wątpimy, że kiedyś opłaci się krajowi chociażby nawet korzyści mierzyć wypadło ściśle praktycznemi skutkami. Ale chodzi o to, czy właśnie dziś tysiąc złr. nie mogło znaleźć innego celu, nierównie pilniejszego? Pod tym względem można by się posprzeczać z szafarzami grosza krajowego, którzy w ostatnich czasach zaczynają nadto ufać ludziom, pragnącym kosztem funduszu publicznego odbyć mniej lub więcej odległą wycieczkę za granicę. Dalej gotowiśmy zejść tak daleko, że kto potrafi zręcznie upozorować swój plan podróży jakiemi celami naukowemi, będzie mógł bez żadnego nakładu z własnej kieszeni zwiedzić Europę a w danym razie i Amerykę. I w innych sprawach takie subwencye na cele naukowe rozmijają się ze swojem przeznaczeniem. Wiele książek i pism peryodycznych otrzymuje subwencye na nakład, jeżeli wydawca umie zręcznie odezwać się do szafarzy funduszu krajowego nie znających się na przedmiocie, o którym rozstrzygać mają. Subwencyonowanie książek i pism powinno być rzadkim wyjątkiem, bo dziś chwała Bogu nie jest tak źle u nas, ażeby rzecz nawet ściśle fachowa ale dobrze opracowana i posiadająca wartość niezaprzeczoną nie mogła liczyć na to, że publiczność pokryje koszta nakładu. Na makulaturę zaś niepotrzebną lub na asekuracyę dla wydawcy obawiającego się straty nie powinien wyjść ani grosz z funduszu krajowego, na który składa się nasz lud wiejski w pocie czoła pracujący. Szczegółowych wypadków, do których te uwagi można by zastosować, z których one właściwie wypłynęły nie chcemy wskazywać, bo to nie zajmie czytelników i należy do naszej prasy. Ale nasza prasa ma to nieszczęście, że z pod oczu usuwają się jej rzeczy godne dobitnego podniesienia, gdy tymczasem codziennie wciska się gwałtem w jej łamy mnóstwo drobnostek, fraszek lub co gorsza skandalów, które powinny pozostać w ukryciu a przynajmniej w najskromniejszym kąciku rubryki dla spraw publicznych przeznaczonej.

Znaczne pożary są peryodyczną klęską naszego kraju o tej porze. Tego roku zgorzało już kilka trzeciorzędnych miasteczek prawie do szczętu, a liczbę wsi nawiedzonych pożarem niepodobna nawet policzyć. Krociowe a czasem milijonowe straty przedstawia u nas rubryka strat pożarowych. Tylko część tego jest zazwyczaj ubezpieczoną w towarzystwach asekuracyjnych a reszta idzie z dymem. A przecież mamy w kraju dwa wielkie towarzystwa asekuracyjne i mnóstwo filji obcych zakładów tego rodzaju. Ajenci wszystkich zakładów uwijają się po kraju i nie można powiedzieć, żeby ich trudy były zupełnie daremne, ale że skutek im nie dorównał dotąd, to nie ulega wątpliwości. Lud wiejski nie chce a może nie może pojąć potrzeby zabezpieczenia swoich zagród. Opłata najmniejsza wydaje mu się ciężarem nieznośnym, jeżeli z niej nie płyną zaraz namacalne korzyści. Zresztą jakże dziwić się można ludowi wiejskiemu, jeżeli w klasach wykształconych rozumna przezorność nie jest bynajmniej cnotą powszechną. Płoną przecież corocznie stodoły i budynki dworskie wcale nie zabezpieczone. Asekuracya jednak nie zapobiega klęsce ogniowej, lecz tylko pokrywa straty poniesione. Zapobieżenie klęskom a przynajmniej ich złagodzenie należy do straży ogniowych, których do niedawna nie było w całej Galicyi z wyjątkiem Lwowa i Krakowa. Obecnie niemal każde drugorzędne miasto posiada ochotniczą straż ogniową, a tam gdzie instytucya ta przyjęła się, klęska pożaru jest rzeczywiście coraz rzadszą. W ubiegłym roku odbył się tutaj zjazd delegatów takich straży ochotniczych z całej Galicyi i dowiódł, że ta młoda a wielce pożyteczna instytucya rozwija się u nas trwale i systematycznie. *(d. n.)*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Kici B. w Sawarcach. Prosimy o adres dla przesłania ustawy o Instytucie Głuchoniemych. Marka i ustawa 8 kop. kosztuje.

P. A. S. w Jaryszewie. Igły maszynowe i list otwarty wysłaliśmy.

P. Aloizie C. Listu do Wędrowca nie otrzymaliśmy, pieniądze do redakcyi tegoż doręczono.

P. Maryi S. w Wodopoju. Próbki tarlatanów oraz list z objaśnieniami żądanemi wysłany. Należy nam się 14 kop.

Pani Wiktoryi T. w Korsuniu. Dwa warkocze roślinne wraz z siatkami kosztują 4 rs. Prosilibyśmy o próbkę włosów. Warkocz ma długości arszyn i 2 werszki.

P. Piotrowi J. w Kawonówce. Próbki żądanych obić papierowych (szpalerów) przyślemy, ale prosimy o zawiadomienie jakie są żądane, cena rulonu jest nader rozmaita; od kop. 30 do jednego rubla i wyżej dochodzi.

P. Maryi K. w Żytomierzu. Do nauki drzeworytnictwa przyjmują każdego kto pracy tej pragnie się poświęcić. Umiejętność rysunku dla tego tu jest pożądana, że ułatwia samą naukę i zapewnia większe w niej postępy. Stopnia jednak tej umiejętności nieoznaczono.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe z vêtement. Suknia z ciemno-szafirowego wełnianego materyału dopełniona vêtement w kratę niebieską, wcale niepodpinanem z wciętemi plecami i przodami bez zaszewek. Do zapięcia służą wielkie guziki z konchy perłowej. Jasne plisy na sukni a ciemne przy vêtement zdobne są dwoma rzędami stębnówki. Wykłady przy rękawach i kieszonki objęte są ciemnym materyałem. Kapelusz czarny bastowy przybrany niebieskim repsem i bławatkami.

Fig. 2. Ubranie wizytowe. Suknia, tunika i stanik kirasowy z indyjskiego jasno-żółtawego batystu.

Spódnicę zdobią trzy wązkie plisowania. Przód tuniki złączonej z tyłu szarfą ułożony jest w poprzeczne fałdy. Wykładany kołnierz spięty kokardą, mankiety złożone z dwóch trójkątów i klapka przy plisowanej kieszonce jest z jedwabnego repsu koloru cardinal. Bogate koronki wywodzone pąsową nitką dopełniają przybrania. Kapelusz bastowy z rondem podszytem materyą pąsową zdobny girlandką kwiatów koloru crême.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 31 Августа (12 Сентября) 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz**. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.